

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 89

Nr. 23. | Warszawa, 18 listopada (1 grudnia) 1902 r. | Rok IV.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.

Ekonomiczno-społeczne znaczenie łowiectwa.

(Dalszy ciąg).

Oficyalna statystyka c. k. ministerstwa rolnictwa oblicza personal łowiecki w r. 1895 na 33.258 osób.

Jeżeli przyjmiemy przeciętny dochód z pensyi, nagród i t. d. w kwocie 600 koron na osobę — to pozycya ta da okrągłą kwotę 19,995.500 koron. W myśl ustaw przypadają taksy za karty myśliwskie w Morawach, na Szląsku, w Bukowinie, Przedarulanii i w Kraińie krajowemu funduszowi oświaty, w Galicyi i Solnogrodzie funduszowi krajowemu, w Styryi i Karyntyi decyduje sejm o sposobie ich użycia, w Tryeście wpływają do kasy gminnej, w Gorycyi i Istryi do krajowego funduszu na uprawę lasów, wreszcie w Czecnach, w wyższej i niższej Austryi dostają się funduszowi ubogich. W Pradze i w Reichenburgu przypadają wyjątkowo kasie gminnej.

Jeden Tyrol nie pobiera tych taks, w tej prowincyi zatem nie stanowią karty myśliwskie źródła docho-



JULJAN FAŁAT. WYJAZD NA POLOWANIE.

du. Należytości stemplowe przypadają wyłącznie państwu. Dr. Henryk v. Kadich oblicza dochody płynące z tego ostatniego tytułu za trzylecie 1893—1895 przeciętnie na kwotę 48,704 złr. — 97,400 koron.

Jeżeli do kwoty tej doliczymy wykazane nadwyżki dochodów w Styryi i Karyntyi, i jeżeli dodamy do niej dochody z Galicyi, możemy kwotę tę zaokrąglić do wysokości 100.000 koron.

Dimitz ocenia już w roku 1886 dochód z taks za karty myśliwskie w Austryi wyższej na 10,000 złr. a. w.

Tabele VII. i VIII. wykazują:

Dla Styryi przeciętnie za lata	1895/98	49.937 koron
„ Karyntyi „ „	1887/99	15.904 „

natomiast podaje v. Kadich co do dochodu z kart myśliwskich za rok 1898 (z wyjątkiem Galicyi) następujące daty:

Czechy	116.048 złr.
Morawy, Szląsk	47.428 „
Bukowina	1.728 „
Austrya niższa	44.965 „
Austrya wyższa	9.555 „
Solnogród	3.200 „
Przedarulania	1.118 „
Styrya	24.607 „
Karyntya	7.910 „
Kraina	2.622 „
Tryest, Gorycya, Istrya	6.809 „
Razem	265.990 złr.

Łączny ten dochód zaokrąglam w naszym rachunku ze względu na wspomnione wyżej nadwyżki, które odnośnie do Styryi i Karyntyi widnieją z tabel VII. i VIII, tudzież ze względu na Galicyę — do kwoty 550.000 koron. Do tego rachunku winniśmy doliczyć przywiedzione przez d-ra v. Kadich, za wykonywanie prawa polowania pobierane, na rzecz krajowego funduszu ubogich płynące daniny ze Styryi i Niższej Austryi. W Solnogrodzie podlegają te daniny podatkowi zbytkowemu.

Dają one w Austryi niższej	31.868 złr.
„ „ „ Solnogrodzie	2.000 „
„ „ „ Styryi	10.146 „
Razem	44.014 złr.

które możemy do naszego rachunku wstawić z okrągłą kwocie 88.000 koron.

Dla wykazanych przez statystykę samoistnych rewirów łowieckich, niemniej dla kompleksów, w których wydzierżawia się prawo polowania, obliczonych na	19.176
	12.988
zatem razem dla	32.164

łowieckich rewirów, przyjmujemy następujące roczne surowe koszta na utrzymanie psów, na nagonkę, tragarzy i t. p. wynagrodzenia na żywienie zwierzyny, jej odstawę:

za psa (roczny koszt utrzymania)	25 koron
„ żywienie zwierzyny	30 „
„ odstawę „	5 „
„ nagonkę	40 „
„ tragarzy	10 „
„ ścieżki łowieckie	10 „
różne wydatki	30 „
Razem	150 koron

Wydatki te w 32.164 rewirach gospodarstwa łowieckiego dają łączną kwotę 4,824.600 koron.

(D. n.).

Prochy małodymne

przez

Władysława Słonczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Szybkością początkową pocisku nazywamy szybkość tegoż w chwili opuszczania wylotu broni.

Istnieją dwa sposoby wymierzania szybkości: 1) porównać szybkość pocisku do drugiej mniejszej, łatwiejszej do wyliczenia i 2) wyliczyć czas, jaki potrzebuje pocisk dla przebycia określonej drogi. Stosunek długości drogi, jaką przebył pocisk, do wymierzanego czasu będzie szybkością danego pocisku.

Na niedźwiedzia.

(Dokończenie)

Widziałem cały jar, na prawo cały stok do kotliny i brzeg starego lasu. Pewien więc byłem, że w każdym razie zobaczę zwierza. Minęły 3, może 4 minuty. Wtem lufy sztucera pana T., które widziałem, jak na dłoni, poruszyły się, podniosły i pozostały tak chwilę, skierowane w zarośla. Dwa razy lufy opadły i dwa razy podniosły się na nowo. Nie było wątpliwości, pan T. mierzył, ale w gąszczu nie mógł wziąć zwierza na cel. Zatrzymałem oddech i, z duszą na ramieniu, czekałem, kiedy z luf buchnie dym, padnie strzał i—skończy się wszystko. Ale lufy opadły i nie podniosły się więcej. Odetchnąłem, spojrzałem, gdzie mierzył pan T, i jeszcze raz przeszły po mnie mrówki...

Miś szedł na sztych. Nie widziałem go jeszcze, ale droga, którą prół przez gęstwę, znaczyła się na śniegu, pokrywającym zwarte poszycie kotliny, jak bruzda. Chyliły się zarośla, gdzieniegdzie z pod śniegu, zarywającego się szmatami, wyjrzała ciemna zieleń jedliny. Szedł ostro, bo bróżda wydłużała się szybko i dotykała już brzegu zarośli.

Podniosłem broń do twarzy, żeby nagłym ruchem nie spłoszyć zwierza, kiedy będzie blizko.

Posypał śnieg z najbliższych świerków, rozwarła się biała sciana gęstwy i już nad lufami sztucera, między kurkami zobaczyłem niedźwiedzia, jak w chmurze śniegu, sam podobny do żywej zaspy, wypadł na polanę. Taka nawalnica wrażenia zwaliła się na mnie w tej chwili, że tylko pojedyncze obrazy odbiły się wyraźnie na kliszach mego mózgu i pozostały w pamięci. Wydał mi się ogromnym. Mignął mi naprzód potężny, trójkątny łeb ze spiczastym pyskiem i sterczącemi uszami, kark i kudłaty grzbiet, z którego spadał śnieg. Przez głębokie zaspy, wyrzucając ciężko ciałem, sadził pod górę potężnego galopa, aż śnieg leciał za nim w powietrze. Przednie łapy zbierał ku sobie, jakby coś zagarniał pod piersi, zadem podrzucał, jak dziecko na czworakach.

Każdy sus zbliża go do mnie więcej i już widzę małe, bystre oczy, patrzące z pod szerokiego czoła, czarny nos i parę z nozdrzy. Nie widzi mnie, pomimo, że odkryty stoję przed drzewem. Jeszcze dziesięć se-

Zastanówmy się nad pierwszym sposobem określenia szybkości początkowych pocisków.

Przyrząd używany do tego celu, nosi nazwę *wahadła balistycznego* (Fig. 1).

Po raz pierwszy wynaleziony i użyty został przez Robinsa w 1740 roku.

Budowa wahadła jest następująca:

Pusta, ciężka, żelazna, koniczna szklanka *A*, nazywana recypientem, złączana jest cugami *BB* ze stalową pryzmą *C*, opierającą się na podkładce *D*, leżącej na ramionach *EE*. Do niższej części recypienta przytwierdzony jest znacznik *F*, chodzący w czasie ruchu wahadła, po łuku, podzielonym na stopnie *K*.

Wpodłuż łuku zrobiony jest żłobek, napełniony mastykową żywicą, po której znacznik przy odchyleniu wahadła rysuje kreskę.

Przed strzelaniem napełnia się recypient piaskiem; dla strzelania z broni śrótowej w recypient, w miejsce piasku, wstawia się ołowiany ostrokręg.

Wylot broni ustawia się na 5 metrów przed wahadłem. Wystrzelony z broni pocisk, uderzywszy w recypient, nadaje mu niejaką szybkość, wskutek czego wahadło odchyla się od swego pierwotnego położenia na pewien kąt, którego wielkość dla danego wahadła zależeć będzie od wagi pocisku i jego szybkości początkowej. Znając wagę pocisku i wahadła, jego roz-

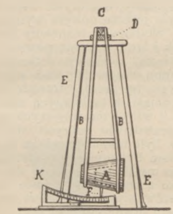


Fig. 1.

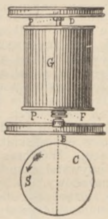


Fig. 2.

miary, położenie środka wahania i odległość punktu uderzenia pocisku w recypient od ramienia pryzmy, można podług kąta odchylenia wahadła, wyliczyć szybkość, z jaką pocisk uderzył w wahadło.

Wahadło balistyczne może także służyć dla określenia siły oddania (recul) broni. Recypient wahadła urządza się w taki sposób, ażeby do niego można było przyczepić broń. W chwili wystrzału prochowe gazy, wywołując ucisk na dno kanału broni (przykład), zmuszają go, a wskutek tego i złączone z nim wahadło, do poruszenia się w stronę przeciwną wystrzałowi. Mając te dane, określa się wielkość szybkości oddania, tak samo, jak przy określaniu szybkości początkowej pocisku. Określenie szybkości początkowej pocisku przy pomocy balistycznego wahadła można oznaczać z dostateczną prawie dla celów strzeleckich dokładnością. Jednakże wielkim brakiem tego przyrządu, a raczej pracy na nim, jest powolność roboty, wskutek bardzo skomplikowanego procesu doświadczeń. Prócz tego koszt wahadła, jako przyrządu, potrzebującego bardzo dokładnego wykończenia, dość jest znaczny, a dlatego w ostatnich czasach z wynalezieniem elektro-balistycznych przyrządów, o wiele wygodniejszych przy pracy i dających dokładniejsze jeszcze wyniki, używają wahadeł jedynie dla określania szybkości (wielkości siły) oddania.

2) Przejdźmy teraz do opisania przyrządów, przy pomocy których można określać czas biegu pocisku między dwoma, znajdującemi się na niewielkiej odległości, punktami. Jeszcze w przeszłem stuleciu Mattei zbudował przyrząd następującej budowy (fig. 2).

Wyobraźmy sobie papierowy cylinder *C* dość znacznej średnicy; prostopadła oś cylindra *D* leży na żelaznych podstawach *PP*. Na niższym końcu osi osadzony jest krążek *F*, za pomocą którego cylindrowi udzielić się może ruch obrotowy. Jeżeli wystrzelimy w kierunku średnicy *AB* w cylinder w tej chwili, kiedy on znajduje się w spokoju, to pocisk przebije cylinder w punktach *A* i *B*. Jeżeli zaś cylinder będzie się obracał (np. w kierunku strzałki *S*), to w tym czasie, kiedy pocisk będzie przechodził przestrzeń, równą średnicy cylindra *A*, *B*, punkt *B* przesunie się w lewo, i w kierunku średnicy, w którą zrobiony był wystrzał, podejdzie np. punkt *C*. Znaczy to, że w tym czasie, w którym pocisk przechodzi drogę *AB*, równą średnicy cylindra, dany punkt, leżący na obwodzie cylindra, przejdzie drogę równą *BC*.

Jeżeli znaną nam jest szybkość obracania się cylindra, to możemy określić i czas potrzebny na przejście punktu *C* w *B*. Nazwijmy ten czas *t*, długość całego obwodu *C* i długość łuku $BC = c$, czas zaś, w jaki cylinder robi jeden obrót *T*, wtedy *t* będzie się równać $\frac{c}{C} = T$, czyli szybkość pocisku w środku odległości między punktami *A* i *B* będzie równa wielkości średnicy *A B*, podzielonej przez wielkość czasu *t*.

(D. c. n.).

---

kund, jeszcze pięć, jeszcze trzy! Przez wizyer widzę białą, srebrną muszkę na tle kudłów, pod któremi gwałtownie chodzi łopatka. Mija mnie o dziesięć kroków i już bliżej nie będzie. Jeszcze sekunda—pociągnąłem.

Potknął się, jakgdyby nagle po strzale zabrakło mu gruntu pod prawą łapą. Widzę, przez oka mgnienie, jak tą łapą sięga lewego boku i chwyta za miejsce, w które mierzyłem. Ale i druga łapa podwija mu się i zwierz, głową naprzód ruluje, jak zając. Przez sekundę widzę cztery łapy nad śniegiem w powietrzu, ale wraz wstaje i tem samem tempem galopuje dalej. Więc, do stu piorunów, jeszcze raz! Znowu zabłyszczała muszka na łopatce zwierza, znowu strzał, znowu wywraca kozła i—znowu wstaje. Po takich dwóch kulach! Jestem tak wzruszony, że ręce literalnie odmawiają mi posłuszeństwa i poprostu nie jestem w stanie odemknąć sztucera, ani zmienić naboi.

Mam uczucie, że mierzyłem dobrze i przysiągłbym prawie, że obie kule niesie w komorze. A jednak idzie. Nie mogę nabić broni i strzelać, choć jest niedalej jak trzydzieści kroków. Muszę patrzeć, jak oddala się, a w mojem zdumieniu jest tyleż żalu, co i zdziwienia. Dlaczego on nie padł? Czegoż jemu potrzeba więcej? Tak dobrze trafiony! Ach! zwalnia nareszcie i z galopa przechodzi w stępa. Ruchy zaczyna mieć bezładne, potacza się, idzie coraz słabiej, aż wpada na oślep na gruby świerk, i potrąciwszy o pień, przewraca się w śnieg. Próbuje wprawdzie wstawać jeszcze, ale podnosi się tylko przodem i rycząc, siedzi chwilę, oparty na rozstawionych szeroko przednich łapach. W tej chwili biedne zwierzę budzi tylko litość i wyrzuty sumienia. Tyle w jego ryku jest skargi i jęku! Nareszcie udaje mi się nabić sztucer i czemprędzej schodzę ze stanowiska, żeby go dobić. Ale moje kule są zbyteczne. Słania się już tylko, opuszcza łeb, w pysku i nozdrzach pokazuje mu się krwawa piana i, zanim doszedłem, z jękiem wali się na bok. Konał, ale życie nie łatwo opuścić chciało potężne ciało. Chrapiąc i robiąc bokami, wyrzucał nozdrzami krew, otwierał ślepia i wysuwając dwucalowe pazury, prężył łapy. Przedśmiertne drgawki potrząsały nim długo jeszcze. Przechodziły po nim coraz słabiej, jak fale, aż uspokoił się zupełnie.

„Natenczas Wojski"!! Ale Wojskiego niebyło tam, niestety. Nie było Strapczyny ani Sprawnika, nie było rogu, ani muzyki, którąby powtórzyły „dęby dębom, bukom buki." Bez romantycznej strony zdobycia zwierza, bez tej poezyi łowów, nie umiałem oprzeć się wrażeniu, że gasząc taką siłę i potężne życie, popełniłem morderstwo.

Gawędy starego myśliwego.

IV.

Jak w całym kraju, tak i w okolicy Czerska właściciele ziemscy dokładają wszelkich starań, w celu rozmnażania zwierzyny i ochrony jej od tępienia przez licznych kłusowników i całe stada psów, włóczących się bezkarnie po polach, i jeżeli dawniej spotykało się znanych kłusowników z bronią niedozwoloną, a psy z przywiązanemi do szyi patykami wielkości cygara, to obecnie wielu z najniebezpieczniejszych, pokątnych tępicieli zwierzyny, traktujących polowanie jako ryzykowne rzemiosło, posiada pozwolenie na utrzymywanie broni, a psa nietylko z przepisanym klockiem lub powrozem u szyi, ale nawet i z tradycyjnym patykiem dziś już czytelniku nie spotkasz. Dlaczego zaś obowiązujące przepisy o polowaniu nie wykonywują się z należytą ścisłością, to chyba najlepiej objaśnićby nas mogli członkowie zarządów gminnych, którzy prawie wszyscy zajmują się sportem myśliwskim, polują na gruntach włościańskich w licznem najczęściej kółku swych przyjaciół a znanych nieraz kłusowników, tolerują więc u włościan naruszanie przepisów o polowaniu, bo nietylko skłania ich do tego zaskarbienie sobie głosów wyborczych, ale i interes bezpłatnego polowania na licznych i obszernych nieraz, terenach włościańskich.

Wobec takiego nieposzanowania obowiązujących przepisów o polowaniu, tolerancyi władz gminnych i mnożącej się liczby myśliwych z rzemiosła i interesu, trudno oczekiwać większych postępów w rozmnażaniu się i ochronie zwierzyny, bo, co zrobią w tym kierunku więksi właściciele ziemscy i gorliwe usiłowania Towarzystwa prawidłowego myślistwa, to zepsują właściciele gruntów włościańskich, na których zwierzynę tępi się do ostatka, a o rozmnażaniu jej lub o ochronie nikt nie myśli. Wprawdzie straż ziemska, pod naciskiem swej władzy i zachętą nagród wspomnianego Towarzystwa, prześladuje kłusowników i stara się tępić psy, włóczące się po polach, ale usiłowania te utrudnia przedewszystkiem brak poparcia ze strony włościan, którzy, z obawy zemsty, ani pomódz policyi, ani też świadczyć przeciwko winnym nie chcą. Dopóki więc nie będziemy mieli straży przysięgłej, której skargi przyjmowaneby były jako dostateczny dowód winy, dopóki teraźniejsza swoboda polowania członków zarządów gminnych ograniczoną nie będzie, dopóki wreszcie nie nastąpi ściślejsze przestrzeganie przepisów o utrzymywaniu psów podwórzowych, dopóty wytępienie kłusownictwa, poszanowanie przepisów o polowaniu, a co za tem idzie rzeczywista ochrona i rozmnażanie zwierzyny dokonać się nie da, a jedno z poważnych źródeł bogactwa krajowego pozostanie, jak dotąd, jałowem.

Polowanie na ptactwo błotne zmniejsza się u nas coraz więcej i prawdopodobnie z postępem czasu i kultury, stanie się rzadkością, bo znikają dawne, wielkie obszary różnego rodzaju błot i trzęsawisk, na których roiły się tysiące kaczek, bekasów i dubeltów, bo ci dawniejsi goście nasi zamorscy coraz liczniej zwracają się teraz ku wschodowi, gdzie znajdują nietylko obfite pożywienie, ale i większe bezpieczeństwo od napaści ludzkiej. A dzieje się przez to wielka krzywda naszym amatorom myślistwa, polowanie bowiem na ptactwo błotne ma swój oddzielny urok, swój oddzielny charakter, a w czasach dawniejszych miewało bardzo licznych zwolenników. Do polowania tego nęciła zwykle myśliwego obfitość zwierzyny, nagromadzonej w jednem miejscu, i łatwość dostania jej do strzału, bo czy to z wyżłem lub bez wyżła, a jak na kaczki z ogarami lub naganką, zawsze miało się pewność, że się nie wróci do domu albo bez dobrego łupu, albo przynajmniej bez spalenia dużej ilości prochu. To też młodzież ówczesna pierwsze swe kroki w sporcie myśliwskim kierowała zwykle na błota, bo tam miała wszelką możność ćwiczenia się w strzelaniu, a rozpoczynając od kurek wodnych i pływających kaczek, szybko dochodziła do celnych strzałów do dubeltów i bekasów.

W owe dawne, dobre czasy, o których wspominam, broń kapiszonowa była jeszcze nowym wynalazkiem, a więc i rzadkością. Skałkówki stanowiły jeszcze tak broń myśliwską, jak i broń wojenną, powszechnie używaną, jakiej teraźniejszy myśliwy dotknąćby się nawet nie chciał, a pomimo wszystkich wad, niedokładności i trudności w użyciu tej broni, strzelało się ze skałkówek równie dobrze, jak i z najlepszych nowoczesnych odtylcówek, i jeżeli wśród teraźniejszych myśliwych znajduje się dużo prawdziwie dobrych strzelców, to w epoce skałkówek było takich strzelców jeszcze więcej. Wówczas bowiem był myśliwym nietylko każdy obywatel ziemski, bo myślistwo uważało się za sport narodowy, ale był nim z obowiązku prawie każdy ze służących i oficyalistów wiejskich. Drzwi dworów ziemiańskich stały wtedy otworem dla drogich gości sąsiadów i współtowarzyszów w pracy, bratnie stosunki, jakie łączyły ziemian, wytwarzały na wsi owe szczere, towarzyskie życie bez zaprosin i zapowiedzi, na które zawsze odpowiadano tradycyjnem hasłem naszych ojców: „gość w domu — Bóg w domu"; z progów wiejskiego dworu nikt nigdy nie wyszedł bez doznania owej wszechstronnej, staropolskiej gościnności, co to umiała łączyć w sobie równomiernie uczucia przyjaźni miłości bliźniego i miłosierdzia; w każdej więc śpiżarni gospodyni wiejskiej znajdować się musiały zawsze nie-

---

Mimo całego upojenia i radości odczuwałem coś, co przypomina niesmak.

Jakiem prawem to zrobiłem! Prawem silniejszego tylko, które jednak wydaje nam się gwałtem, ilekroć cierpimy przez nie sami. Chroniąc się od ludzi, żył w głuchych ostępach, nie szkodząc nikomu. Uchowała go i żywiła matka-puszcza, której był za życia królem i ozdobą. Spał w śnieżnym barłogu i czekając wiosny, śnił o lepszych czasach, kiedy nastanie ciepło, słońce rozkuje ziemię i dojrzeją jagody. Ale człowiek cywilizowany zapragnął wrażeń dla stępionych nerwów.

Więc przejechał sto mil i wdarł się do serca lasów, wysłał płatnych zbirów, którzy za srebrniki wyszukali i wydali kryjówkę pana kniei. Potem zapłacił obławę i sam, ufny w swą broń i przebiegłość, podstępnie, z zasadzki zabił go zdradziecko...

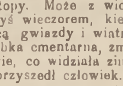
Na białym całunie, zasłanym na ziemi, nieruchomy, leży syn puszczy martwy, już nie groźny, a mimo to wspaniały jeszcze. A ja, tryumfator niby i zwycięzca, stoję nad swym łupem i—wstydzę się nieledwie. Oklask i pochwały myśliwych, oglądających zwierza i unoszących się nad jego pięknością i nad memi strzałami, były mi obojętne w tej chwili; uciążliwe—pochlebstwa obławy, która, w nadziei lepszego datku, sławiła mnie, niedźwiedzia, moją broń, ba! nawet huk ekspresa, który tak niepozornym wydał im się zrazu. O potężny rublu!

Ostatni akt: zakryto oczy koniowi, podprowadzono go z wiatrem i na sanki władowano zwierza. Z powrotem, jak kondukt, ruszyliśmy do młynów.

Za nami, jako wspomnienie, został zdeptany śnieg i wypisana krwawo historya gwałtu. Ale i to zniknie, gdy przyjdą roztopy. Może z wiosną dopiero, gdy knieja ożyje, kiedyś wieczorem, kiedy na niebie, jak gromnice, zaświecą gwiazdy i wiatr przejdzie nad lasem, osika, jak babka cmentarna, zmówi drżącemi liśćmi pacierz i opowie, co widziała zimą, w dniu, w którym do puszczy przyszedł człowiek.

A ja, niepoprawny, już myślałem o drugim niedźwiedziu, zapowiedzianym na jutro.

St. Z.



tylko spore zapasy produktów spożywczych, jakie dać mogło własne gospodarstwo, ale i spore zapasy wszelkiego rodzaju zwierzyny. Że zaś zwierzyna należała zawsze do pokarmów ulubionych, było jej poddostatkiem, a śrót i proch o wiele były droższe, niż obecnie, więc tym ze służących, na których wkładało się prawo polowania, wydawało się zwykle sześćdziesiąt nabojów prochu i śrótu pod obowiązkiem dostarczenia pięćdziesięciu sztuk różnego rodzaju zwierzyny. A kontrola w tym przedmiocie była ścisła, bo nad wykonaniem jej czuwały zawsze same panie.

(D. n.).

L. Łaszcz.

Strzelba myśliwska

JEJ WYRÓB I PRAKTYCZNE ZASTOSOWANIE

przez

Jerzego Kocha.

(Dalszy ciąg)

Broń repetyerową śrótową wyrabiają dotąd tylko w Ameryce, lecz zanadto jest skomplikowana i w Europie dotąd niewiele zaaklimatyzowała się. Najstarszą bronią repetyerową jest broń systemu Spencera, której wzór znajdujemy w fig. 85.

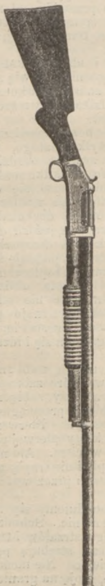


Fig. 87. Śrótowa broń repetyerowa Winchestra, nowy model. Kaliber 12, dla 6 strzałów. Model 1893. Waga 3½ kg., długość luf 75 cm., cała długość 123 cm.

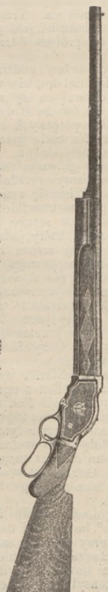


Fig. 86. Śrótowa broń repetyerowa Winchestra, stary model.

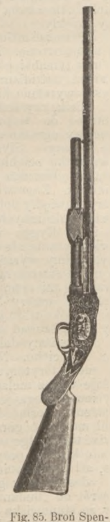


Fig. 85. Broń Spencera. Willam Read i Sons w Bostonie.

Ładunki leżą w zbiorniku magazynowym, umieszczonym pod lufą, na którym znajduje się rączka do przesuwania lewą ręką, a która za posunięciem najprzód do tyłu, a potem do przodu, wprawia mechanizm repetyerowy w ruch, naciąga zamek i wyrzuca wystrzeloną gilzę. Ruchu tego można dokonać, nie odkładając broni z przykładu. Magazyn zawiera 5 naboi, a ponieważ w lufie znajduje się już nabój, przeto z broni tej można sześć razy, raz po razie wystrzelić.

W Niemczech używają więcej broni repetyerowej systemu Winchestra, a której reprezentantem jest firma Edward Kettner w Kolonii. Są dwa modele tej broni: starszy fig. 86 z naciąganiem pałąka, który za pomocą widzialnego uchwytu za cynglem, posuwającego się naprzód i ku tyłowi, porusza mechanizm,—i nowszy z wygodniejszym sposobem używania.

Nowszy model według fig. 87 zarzucił dawny niewygodny uchwyt pałąkowy i posiłkuje się zwykłym uchwytem ręcznym (left hand motion), znajdującym się

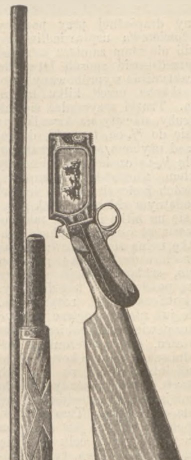


Fig. 88. Samodzielna broń śrótowa repetyerowa Burgessa-Gun et C-o Buffalo N. Y. lufą z przyrządem.



Fig. 89. Broń Burgessa po wystrzeleniu.

pod przednią częścią przykładu, tak jak w broni Spencera, służącym równocześnie do naciągania i zmiany. Magazynowy zbiornik zawiera także 5 ładunków.

Oprócz dwóch rodzajów, zakłady Gaggendu przed kilku laty zajmowały się wyrobem broni repetyerowej, która jednakże nie miała powodzenia, i zaprzestano ją wyrabiać. Konstrukcya podobna była do mechanizmu pierwszych modeli wojskowych karabinów repetyerowych. Zbiornik magazynowy, mieszczący 4 ładunki, znajdował się pod lufą, i na nim spoczywał ruchomy przyrząd, który na podobiznę broni Spencera i Winchestra, służył jednocześnie do odwodzenia broni i zmienienia lub, dokładniej wyraziwszy się, zmieniania strzału. Mechanizm, jakkolwiek dość skomplikowany, funkcyonował dobrze i dokładnie, naturalnie należało zwracać uwagę na dokładność ładunku co do długości i szerokości, gdyż małe, nieznaczne odstąpienie od wymiarów, tamowało prawidłową czynność mechanizmu i spowodowało zatykanie się.

Na koniec należy się wzmianka o samodzielnej broni śrótowej repetyerowej Burgena, jednym z now-

szych na tem polu wynalazków amerykańskich, u której za jednorazowem odciągnięciem mechanizm zaczyna działać i strzał gotowy.

Jeżeli myśliwym nie wystarczały poprzednio opisane systemy broni repetyerowej, to broń Burgena powinna wygodzić zapałowi częstego strzelania. Mechanizm odwodzenia zaczyna działać za uchwytem przyrządu, umieszczonego w rękojeści pistoletowej, dającego się posuwać. Po wystrzelaniu mechanizm cofając się, wyrzuca gilzę i równocześnie naprzód posuwając się, powoduje przejście nowego ładunku do kamery i równocześnie odwodzi broń.

Według wzmianek w gazetach amerykańskich, mechanizm dobrze funkcyonuje ku zadowoleniu myśliwych, żądnych nietylko pewnego, ale i częstego strzału.

(D. n.).

Trucie strychniną.

Czy trucie zwierzyny drapieżnej przy pomocy strychniny jest z punktu łowiectwa usprawiedliwione, czy nie, o tem w tej chwili nie mam zamiaru zabierać głosu. Pragnę jedynie przedstawić sposób łatwy do trucia wilków i lisów, a praktycznie wypróbowany i stosowany przez pewnego praktyka przed kilku latami z bardzo dobrym skutkiem. Trutki przyrządza się jak następuje. W makaron gruby, nacięty na kawałki po 3 cm. długości, nasypuje się do $^3/_4$-ch, laseczki, dobrej strychniny (kryształki przed użyciem sproszkować, im mielej, tem lepiej), pozostałą $^1/_4$-tą część laseczki należy wypełnić w połowie szkłem, tłuczonem nie zupełnie miałko. Otwory po obydwóch końcach zalepić można woskiem, lub po prostu podatnym chlebem. Tak przygotowane laseczki, wiąże się na nitkę i macza tak długo w rozpuszczonym tłuszczu, aż osiągną grubość małego palca; następnie nitkę ucina się i gotową trutkę do czasu użytkowania przechowuje. Trutkę przechowywać najlepiej w czystym, szklanym słoju. Wiadomo myśliwym, że najlepszą powłoką jest kot domowy, należy więc w tym celu kota zastrzelić, rozpruć go, trzewia uchylić i w oziębłe już nieco wnętrze włożyć trutki, które, leżąc tak przez pewien czas, nabierają tym sposobem najlepszego odwiatru, czyli witerunku. Następnie wiąże się odpowiedni sznur do nogi kota i uskutecznia powłokę za sankami lub wózkiem po znanych wilczych i lisich przesmykach. Podczas jazdy układa się na powłoce trutkę w miejscach odpowiednich, mniej więcej co 100 kroków jedna od drugiej. Tam jednak, gdzie zamierzamy trutkę położyć, dobrze jest śnieg na tem miejscu powłoką ubić, w którym to celu unosi się kota kilkakrotnie i o śnieg dobrze wyciera, tym sposobem utworzy się twarda placówka, na której położona trutka, w śnieg nie zapadnie i pozostanie widoczna na wierzchu. W powyższy sposób przysposobioną i ułożoną trutkę bierze tak lis, jako też i wilk, bez długiego namysłu i zwykle na miejscu pada. Po rozgryzieniu trutki bowiem,—zasmakowawszy piekielną gorycz strychniny, pragnie się zwierz od niej uwolnić, wypluć i zetrzeć ją z języka, — i w tym to celu wyciera język o przednie łapy, kaleczy go okruszynami dodanego szkła, skutkiem czego trucizna działa energiczniej i dlatego zwierz zwyczajnie na miejscu pozostaje.

Wiktor Stephan.

Polowanie na łosie w Dawidgródku.

(Dalszy ciąg).

Znowu humor hr. Zamoyskiego dodaje nam wszystkim wesołości. Znowu przeróżne opowieści i planowanie na podsłuchy wieczorne, a nad tem wszystkiem góruje hasło „niemasz, jak myśliwski stan", swoboda, zapomnienie na dni kilka o różnych troskach i kłopotach, pogoda piękna, obiad, a potem jazda do ostępów.

Program całkiem zmieniony. Książę Stanisław i hr. Zamoyski udają się na „Borek" na wieczór i ranek dnia następnego, p. Abłamowicz i ja do ostępów Okielskich także na noc, zaś ks. Albert Radziwiłł i d-r Puljanowski idą do nowych ostępów niezbyt odległych od obozowiska. Pary odjeżdżające na noc, mają drogę trudną i daleką, zwłaszcza ze względu na trudność przepraw przez groble i moczary. Jedziemy ciągle istnym parkiem, słońce nietylko świeci, lecz przygrzewa, i stajemy wobec t. z. mostów, których na wózku przebyć nie można.

Te mosty to szereg kłód, położonych jedna obok drugiej na moczarach tak głębokich, że konie grzęzną po kolana. Ale włościański konik poleski radzi sobie z tem doskonale. Każdy inny połamałby nogi o kłody, ten nie. Idzie śmiało, nogi stawia ostrożnie, poleszuk puszcza lejce, żeby koniowi nie przeszkadzać, i w ten sposób my piechotą, a konie z wózkami, przedostajemy się pomyślnie przez błotne przeprawy. O innych kolegach nic wiedzieć nie możemy, ani strzały ich uszu naszych nie dolecą, bo zbyt daleko jesteśmy rozrzuceni.

P. Abłamowicz i ja posuwamy się wolno, ale zupełnie w porę, bo słońce jeszcze dość wysoko. Naraz dolatuje nas odgłos goniących ogarów i w chwili, gdy już jesteśmy blizko przygotowanego dla nas, prowizorycznego „budanu", spotyka nas miejscowy gajus z wiadomością, że przed chwilą przeszedł nam drogę łoś, goniony przez ogary p. Kieniewicza.

Istotnie, gon słyszymy wyraźnie, a po chwili naszczekiwanie psów na miejscu, świadczące, że zwierz się zatrzymał. Ani na chwilę nie myślimy o podchodzeniu łosia, bo i czasu szkoda i nie wiadomo, czy klempę, czy rogala psy zatrzymują. Posyłamy cały zapas przekleństw pod adresem ogarów, które się do naszych ostępów zagnały i prawdopodobną nadzieję spotkania z łosiem obróciły w niwecz. Trudno przewidywać, żeby się łoś wabił po hałasie, jaki psy sprawiły w ostępach. Ale niema co, próbować trzeba, tem bardziej, że psy uciekły.

Przeczekaliśmy dobrą godzinę i idziemy każdy w swoją stronę. Idę daleko, ale wygodnie. Bawią się ze mną jarząbki, podrywające się ze znanym furkotem z ziemi, natrafiam na świeże ślady dzika, a wreszcie słyszę wyraźnie kilka potężnych susów.

Dzik, czy łoś? Na razie pytanie bez odpowiedzi. Dotrzeć do tropu niepodobna, nietylko dlatego, że moczary ogromne, ale głównie, żeby zwierza bardziej nie spłoszyć. Słyszeliśmy wyraźnie, że dał kilka susów i wszystko ucichło. Więc się zatrzymał, może się da zwabić. Wszakże próżne wszelkie usiłowania wabiarza Nikifora. Zaprawiony w sztuce wabienia doskonale, stary, zawiędły poleszuk, który, jako wabiarz, jeździł dla kształcenia innych w tej sztuce do księcia Naryszkina i pod Rygę. Słowem, powaga, której ja poddaję się bezkrytycznie, ale której nie chciał uznać łoś spłoszony. Słyszeliśmy wyraźnie, że się ruszał w ostępie, zbliżał w naszą stronę, łamał gałęzie i trzcinę, ale nie odezwał się ani razu. Mądry pan! Za takiego uznaje go niemniej mądry Nikifor i namawia do pozostawienia go w spokoju do jutra. Oczywiście zgadzam się i idziemy dalej szukać szczęścia.

Zaszliśmy daleko. Nikifor wabi, urywa, wabi znowu, ale cicho. Naraz jeden z ogarów, które zabrnęły na cudze terytoryum, stracił ślad towarzyszy, zabłądził i daje wyraz melancholijnemu usposobieniu przeciągłem wyciem, rozlegającem się po całym ostępie. Pierwsze wrażenie, posłać kulę temu szelmie, który pierwej popsuł nam wab gonem, a teraz psuje—wyciem. Ale nie widać tego gałgana. Gdzieś jest w ostępie i nie trapią go wcale klątwy, posyłane pod jego adresem przez wabiarza, a i przezemnie.

Jesteśmy w gniewie bezsilni i decydujemy się na powrót do „budanu", bo zabiegi nasze na nic. Schodzimy ze stanowiska przy odgłosie szeregu strzałów i trąbienia. To dojeżdżacze p. Kieniewicza strebują psy zbłąkane i strzałami nawołują je do siebie. Nie można rościć do nich pretensyi. Są u siebie, stoją na granicy

i pełnią swój obowiązek. To uznanie dla idei obowiązku nie zmniejsza gniewu. Wracam zirytowany doznanemi przeszkodami, a w takiem samem usposobieniu wrócił i p. Abłamowicz. Psy wszystko popsuły.

Herbata i posiłek ukoiły nieco gniew, kładziemy się, a wstać trzeba o 2-iej w nocy. Ja na podsłuchy ranne zostaję w tych samych ostępach, zaś p. Abłamowicz jedzie w inną stronę i mamy się zjechać dopiero w obozowisku ogólnem nad Wietlicą.

Budzę — herbata, i wśród ciemności nadzwyczajnej, bo spotęgowanej wysokopiennym lasem, ruszamy, każdy w swoją drogę.

Jestem na stanowisku zupełnie po ciemku. Nikifor raz w raz pyta, czy strzał byłby możliwy, irytuje go wyraźnie moja odpowiedź, że jeszcze celu na lufie nie widzę, a nie mogąc doczekać się mego sygnału, sam rozpoczyna wab. Rozlega się on wśród ciszy bardzo daleko, ale jeśli go łoś słyszy, to my usłyszenie łosia mamy utrudnione. Uwierzy w to tylko ten, co polował w tych warunkach nad Prypecią. Słupy komarów, otaczające nas, brzęczą tak gwałtownie, a miliony meszek tak dalece atakują nasze uszy, oczy, nos, miejsca na głowie i karku, wolne od przykrycia, że słuch mamy przytępiony i nie słyszymy tego, co się dzieje w bliskiej odległości.

Ale to się tylko zdaje. Słuch nasz tak wytężony, że słyszymy nawet to, co zdaleka dolatuje uszu, i oto słyszymy wyraźnie stękanie łosia, odpowiadającego na wab Nikifora. Stękanie nawet niezbyt odległe. Iskra elektryczna przebiega po całem ciele. Zapominam o mękach, zadawanych przez komary i meszki, ściskam odruchowo sztucer w ręku, jak gdybym nie był pewien, że go trzymam dobrze, a Nikifor robi wszystko, co mu znajomość sztuki robić nakazuje.

Łoś odpowiada, urywa i znowu odpowiada, ale zarazem słyszymy beczenie łoszaków, odpędzanych przez rogala od klempy. To psuje wrażenie. Rodzą się obawy, że łoś ma swoją klempę i opuścić jej nie zechce, chyba, że uwierzy, iż wabiarz nie jest wabiarzem, lecz takim samym, jak on, panem łosiem, zdążającym do walki o względy klempy, której stałości tamten zaufał.

I cóż? Ufności tej zachwiać nie zdołaliśmy. Nic pomogły różnorodne dźwięki i sposoby Nikifora. Na nic się nie zdało łamanie krzaków i przybieranie w ten sposób niby groźnej postawy. Łoś odpowiadał, ale uchodził coraz dalej. Najwyraźniej upewnił oblubienicę, że nie wypada szukać innego kawalera, albo narażać na szwank w walce tego, którego zalety już poznała.

Podchodziliśmy, zmienialiśmy miejsce wabu i wszystko na nic. Rodzina się usuwała coraz dalej, a my wyczerpani uganianiem się po bardzo trudnym terenie, przestaliśmy słyszeć wab i nie posiedliśmy szczęścia, które zdawało się tak blizkiem.

I w dalszej pracy nie osiągnęliśmy nic tego ranka. Zachodziliśmy z różnych stron, przechodziliśmy do innych ostępów, brnęliśmy po moczarach i nic. Tamten zginął bez śladu, a żaden inny nie odezwał się, chociaż widzieliśmy świeże tropy, świeżutkie legowiska i miejsca rannego żerowania. Wróciłem późno do „budanu" i w zysku miałem twarz, głowę i ręce tak skąsane przez komary, że byłem zupełnie zapuchnięty. Przeprawy przez owe mosty i dalsza droga sprawiły, że do obozu dotarłem późno, p. Abłamowicza dopędziłem nad Wietlicą.

I on nic nie zdziałał. Znalazłszy się w nocy na stanowisku, zabawiał się najprzód słuchaniem wycia całego stada wilków, potem słyszał dziki, ale ani w pierwszym, ani w drugim wypadku do strzału nie doszedł. Nareszcie wyszedł na niego łoś, ale za młody na to, żeby taki wytrawny myśliwy miał go zabijać. I nie strzelał. Słowem nie wiedzie się nam obu. Albo nic nie słyszymy, albo psy przeszkadzają, albo nie możemy dojść do strzału. A pracy położyliśmy nie mało i wytworzyła się już pewna zawziętość: spotkać się i zabić koniecznie, chociażby przez zemstę za tyle trudów poniesionych.

Natomiast w obozie nastrój inny. Łoś jest. A czyj?—pierwsze pytanie — Hrabiego Zamoyskiego.— Sztuka ładna. Rogi każdy o trzech odnogach. Jest już i tryumfator i opowiada nam, że miał najpiękniejszą zabawę. Łoś wabił się doskonale, przyszedł z wabem zdaleka, a pod koniec szedł na wab przez dwie polany, całkiem wolne od krzewów. Było więc i emocyi dużo i można się było nacieszyć widokiem tego wspaniałego zwierza. Hrabia Zamoyski przypuścił łosia na blizką metę i posłał mu pierwszą kulę od przodu pod łopatkę. Łoś upadł, podniósł się, zawrócił w tył, a w tej chwili dostał kulę drugą w zad i padł nieżywy. Pierwsza kula od przodu przeszyła płuca i siadła około kości pacierzowej, druga od tyłu przeszła jelita i strzaskała kość pacierzową. Oniemal spotkały się wewnątrz zwierza, który już nie zrobił ani kroku.



Łoś hr. W. Zamoyskiego.

Inni myśliwi mieli także łosie, ale jeden spotkał się wówczas, gdy z powodu ciemności strzał był niemożliwy, zaś inny miał łosia w nadzwyczajnych gąszczach i spotkanie pozostało bez rezultatu.

W każdym razie ożywienie ogromne. Każdy opowiadał, jak i co się stało, ten usprawiedliwiał niepowodzenie, ów użalał się na pecha, inni, a właściwie my dwaj, na psy i t. d., a ponad tem wszystkiem unosiła się radosna wieść, więc łosie są i tylko dla niewytłómaczonych powodów milczały przez pierwsze dwa dni. Więc spotkamy się jeszcze, i nie na próżno dzisiaj „Iwana Gołowońcka" (*) czyli dzień, od którego, podług wabiarzy, datuje ruja najlepsza.

Wszakże podsłuchy wieczorne tego nie potwierdziły.

(D. c. n.).

A. P.

Z Dalekiego Wschodu.

(Dokończenie)

Raniony dzik szedł po górze, miejscami porzucał ścieżki i bróździł po głębokim śniegu, lecz dalej znów wchodził na przydeptane szlaki. Można było pomyśleć, że robił wszystko naumyślnie, aby utrudnić tropienie.

Nareszcie natrafiliśmy na miejsce, gdzie zwierz leżał. Była to pierwsza, ogromna, wytłoczona w śniegu przestrzeń. W jednem miejscu widocznym był czerwony punkcik. Okazało się, że z leżącego ciekła obficie krew, od której tajał śnieg do samej ziemi. Chudjakow wetknął pręcik w to miejsce, a następnie rozgrzebawszy nogą, określił obfitość straconej krwi. Z położenia tego czerwonego punktu można było oznaczyć,

*) Tak poleszuk nazywa święto „Ścięcia Ś-go Jana", obchodzone 28 sierpnia st. stylu, czyli 11 września now. st.

że rana jest wysoka; czerwony punkt był niedaleko konturu wytłoczenia. Z tego jednak że miejsca dzik się podniósł i uszedłszy jeszcze z jakie sto kroków, zwalił się bezsilny. Tu cała przestrzeń była starzana i obficie krwią zawalana. Nareszcie, podniósłszy się i uszedłszy jeszcze z 10 kroków w dół góry, dzik utknął ryjem w krzak, zasypany śniegiem, i zastygł w takiej pozycyi, prawie stojącej.

Dzik ten był rzeczywiście olbrzymem. Szable miał brudne, żółte i porządnie starte, cielsko nadzwyczaj długie.

I tak, dzięki tylko olbrzymiemu zapasowi wszelkich wiadomości, ogromnej myśliwskiej praktyce, w której najmniejszy objaw, myśliwy stara sobie wytłómaczyć, mnie się dostał ten dzik.

Odszukiwanie tego dzika obznajmiło mnie z całym systemem tropienia. Najmniejszy objaw, spotykany na drodze, był nadzwyczaj trafnie i umiejętnie objaśniony, a skutki z niezwykłą dokładnością z góry przewidziane. Chudjakow u nas uchodzi za profesora; ja go jednak awansuję na magistra myślistwa. Dowody swojej głębokiej znajomości rzeczy nieraz nam okazywał. Niedostateczną jest dla osiągnięcia takiej znajomości jedna tylko myśliwska praktyka, ona jedna nigdy do takiego wysokiego stopnia znajomości rzeczy nie doprowadzi. Niezbędnem jest jeszcze to zamiłowanie i chęć wyjaśnienia przyczyn rozmaitych objawów, jakie spotykamy na polowaniu, a na które nie zwracamy uwagi.

Na tem kończę opis mej pięciodniowej wycieczki na dziki. Rezultat polowania był niefortunny, gdyż jeden dzik przepadł mi, skutkiem ekspandowania kuli na drzewie, a dwa dziki uszły bezkarnie, skutkiem przycięcia rękawa kuklanki zamkiem sztucera. Dziwnym zbiegiem okoliczności odyniec i maciora, przezemnie zabite, okazały się największemi — 14 i 8 pudów czystego mięsa. Chudjakow zabił dziewięć dzików, wszystkie jednakże od 5—7 i tylko jednego 8-iopudowego, którego zabrałem w zamianę za odyńca. Prócz tego do dwóch dzików broń odmówiła mu trzy razy. Było to skutkiem silnych mrozów i obfitego zmazania zamka tłustością. Chudjakow strzelał z przerobionej trzechliniowej, wojskowej broni.

On dał 13, a ja 6 strzałów. Prócz tego muszę jeszcze dodać, że czy to był prosty wypadek, niezależny od myśliwego, czy też rzeczywiście oznaczał taki niezwykły talent Chudjakowa, dość że wszystkie, zabite przez niego dziki, miały rany we łbie, w uchu, w szyi i tylko jeden niewielki okaz, strzelany do tyłu, dostał w bok, ale kula z drugiej strony wyszła przez szyję. Oba zaś moje dziki dostały kule po grzbiecie. Charakteryzuje to sposób strzelania każdego z nas.

W czasie naszego polowania spotykaliśmy bardzo często iziubry, ale pozostawialiśmy je w spokoju. Okazało się, że obaj lubimy nadewszystko polowanie na dziki.

Dziwnym trafem nie spotkaliśmy ani jednego śladu tygrysa, chociaż doskonale mi wiadomem było, że nie dalej, jak o 10 — 20 wiorst, nad Wielką Kabargą w tymże czasie operowało kilku tych drapieżników. Chudjakow objaśniał to obfitością dzików i niechęcią ich do włóczenia się po śniegu, jeżeli są dobrze najedzone.

Moje obowiązki służbowe i brak czasu nie pozwoliły mi zawitać do nich. Pozostawiwszy dostawienie dzików staraniom naszych ludzi, sami na niekutych sankach, nocą wyjechaliśmy do stacyi Ussuri, gdzie nad rankiem znaleźliśmy się w pocztowym pociągu.

Miejscowość nad rzeką Kabargą pozostawia nadzwyczaj przyjemne wspomnienia.

Jak widzisz, czytelniku, polowanie było urządzone nadzwyczaj prosto — że powiem ubogo, ale rezultaty stosunkowo daleko bogatsze, aniżeli książęcego w Deniskowiczach.

OBJAŚNIENIA.

1). Wyrażenie *„promyszlennik"* nie ma zupełnie odpowiedniej nazwy w polskim języku, gdyż *promyszlennik*, w tym znaczeniu, jak tu pojmujemy, nigdy w Polsce nie istniał. Starałem się spolszczyć tę nazwę na „przemysłowiec leśny, przemysłowiec zwierzyny," ale ani jedno, ani drugie nie daje pojęcia właściwego nazwie *promyszlennik*.]

Promyszlennik jest również miejscową, oficyalną nazwą. Jest to człowiek, który utrzymuje się z dochodu z polowania. Dla myśliwego inteligentnego nazwa *promyszlennik* jest ubliżającą. *Promyszlennik* przedewszystkiem jest wrogiem prawidłowych Towarzystw myśliwskich, gdyż niszczy zwierzynę bez ograniczenia miejsca i czasu i ilości. Zna doskonale wszelkie miejscowości, obfitujące w zwierzynę, i doskonale włada bronią. W każdym razie żadnych kryminalnych czynów z pojęciem *promyszlennika* nie łączymy. Działa tylko bronią, bez użycia innych środków do polowania; tylko trucie drapieżników strychniną odnosi się do działań *promyszlennika*.

2). *Dzenszeń*, drogi korzeń, rośnie w górach Sichota-Alin i innych. Narody azyatyckie przypisują mu masę nadzwyczajnych własności, jest to coś w rodzaju eliksiru życia. Całe partye Chińczyków włóczą się po górach, poszukując *Dzenszenia*, co jest dość trudnem. Czasami w ciągu całego lata jeden człowiek zdoła znaleźć zaledwie jeden, dwa korzonki. Tacy poszukiwacze, aby mieć środki do życia w kniei, ścinają w czasie lata tysiące dużych drzew dębowych, które gniją i porastają grzybami. Temi właśnie grzybami żyją owi poszukiwacze dzenszenia. Kopią oni również doły, zakrywają je chróstem, liśćmi i łapią w takie doły jelenie, dziki i t. p. Na budowę szałasów niszczą masę drzewa, skutkiem tego, poszukiwacze dzenszenia są obecnie przez władze administracyjne prześladowani. Broni palnej nigdy z sobą nie mają.

3). Techniczne wyrażenie *hiszcznik*, przetłómaczyłem niszczyciel zwierzyny. Jest to znów odrębna warstwa ludzi, żyjących z polowania zwierza na futra, a przedewszystkiem sobola. Hiszcznik poluje tylko przy pomocy rozmaitych pułapek, samołówek, których jest setki rodzajów, a wszystkie działają na pewno. Zacząwszy od sobola, skończywszy na niedźwiedziu, jeleniu, łosiu, dziku, na wszystko hiszcznik poluje, przepędzając cały czas w kniei, gdzie nawet ma ogrody, zasadzone cebulą i czosnkiem. Mięsa dostarcza im ich zajęcie, a resztę mają w kniei. W najniedostępniejszem miejscu, gdzie trudno wyobrazić sobie, aby człowiek mógł przebywać w takiej głuszy, jest gdzieś ukryta izba nad strumykiem, a w cieniu lasu, jak zwierz jaki — mieszka taki hiszcznik. Administracya kraju obecnie pali i niszczy ich siedziby, odbiera im zdobycz i t. p.

Jan Dąbrowski.

Prezydent Krüger jako myśliwy.

Londyński *Times* ogłosił świeżo parę wyjątków z pamiętników ex-prezydenta Krugera, które wkrótce zostaną opublikowane. Jeden z tych wyjątków podajemy do wiadomości naszych czytelników.

„Pierwszego swego lwa zabiłem w 1839 r., gdym miał lat czternaście. Jeden z tych drapieżników napadł na nasze bydło i porwał kilka sztuk nad brzegami rzeki Rhenoster w krainie, która z czasem przybrała nazwę Oranii. Sześciu naszych (ja byłem przyłączony do ekspedycyi, lecz nie wchodziłem do rachuby) puściło się w pogoń za lwem. Wszyscy dosiadaliśmy koni, robiąc naganke w grupach po trzech w taki sposób, że obie grupy znajdowały się w dość znacznej odległości, jedna od drugiej.

Lew odkrył naszą obecność, zanim mogliśmy go widzieć, i w susach rzucił się ku nam. Wszyscy starsi zwrócili w tej chwili konie tyłem do drapieżnika, gdyż inaczej mogłyby się popłoszyć i ponieść.

Każdemu z nas wyznaczono miejsce. Ja znajdowałem się z tyłu, przed końmi, nad którymi miałem czuwać. Ostatnim skokiem lew znalazł się blizko mnie; następnie przywarował, aby skoczyć, jak sądziłem, ponad moją głową na konie. Dałem ognia w chwili, kiedy zwierz zbierał się do skoku, a mierzyłem tak dokładnie, żem go na miejscu trupem położył. Lecz padając, potężny zwierz o mało mnie nie przygniótł swym ciężarem. Moi towarzysze w jednej chwili byli przy mnie, aby mnie ratować, lecz na próżno: lew już nie żył.

Na odgłos strzału drugi oddział myśliwych nadjechał i zostaliśmy czas jakiś przy trupie, opowiadając sobie szczegóły całej awantury. Jeden z nas, niejaki Hugo, przykląkł, aby zmierzyć kły lwa, które rzeczywiście były ogromne.

Kiedy był tem zajęty, skaczę na brzuch lwa, nie mając na myśli żadnej psoty. W tej chwili straszny ryk rozdziera powietrze, a mój biedny Hugo pada na wznak, cały blady ze strachu, gdy inni śmieją się do rozpuku z tej awantury. Każdy bowiem, szanujący się myśliwy afrykański wie doskonale, że lew przez czas jakiś po śmierci zachowuje zdolność wydania ryku równie strasznego, jak za życia. Hugo wiedział o tem doskonale, lecz w chwili przerażenia zapomniał o tem zupełnie.

Zawstydzony swoją małodusznością, chciał mi się za to odpłacić, lecz inni wdali się w sprawę, tłomacząc mu, że zrobiłem to nie naumyślnie, bez żadnej złej intencyi".

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 12 listopada. Sędzia śledczy okręgu łomżyńskiego nadesłał zapytanie, z jakich praw i przywilejów korzystają stróże przy miejscach ochronnych i czy w prawach swoich zrównani oni są z rządową strażą leśną. Rada wyjaśniła, że dotychczas stróże owi z praw służby leśnej rządowej nie korzystają. mają tylko prawa służby leśnej prywatnej.

Na fundusz zasobowy Oddziału odłożono 1760 rub.

Posiedzenie Rady, 19 listopada. P. gubernator kaliski przedstawił, jako najgorliwszego w ściganiu kłusownictwa w roku z. starszego strażnika łęczyckiego pow., Filkiewicza. wobec czego Rada postanowiła wydać mu nagrodę w postaci zegarka srebrnego z dewizką.

P. Bałandowicza, pomocnika naczelnika powiatu garwolińskiego, zaliczono w poczet Stałych Członków Oddziału.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i Polowań, 19 listopada. Do dóbr Osieckich dołączono dzierżawę Rudnika, około 20 włók. Dzierżawa wzięta na lat 3.

Delegacya Wyborcza na posiedzeniu d. 24 listopada następujących kandydatów przyjęła w poczet Rzeczywistych Członków Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, pp: Jana Mierzyńskiego, Stefana Jackowskiego, Władysława Jasieńskiego. Jana Kaetzlera.

Drobiazgi Myśliwskie.

Polowanie w Prusach. Na przestrzeni 34.25 milionów hektarów zabito w roku 1900 w Prusach łosi 9, jeleni 15,000, danieli 8,600, sarn 110,000, dzików 9,400, zajęcy 1,273,000, królików 314,000, lisów 85,000, borsuków 5,000, wydr 4,100, żbików 630, kun 10,800, tchórzów 27,000, łasic 24,000, psów morskich 590, bobrów 17, wilków 4. Z lotnej zwierzyny: głuszców 400, cietrzewi 6,000, jarząbków 2,250, kuropatw 2,525,000, przepiórek 103,000, bażantów 139,000, dropi 929, słonek 41,300, bekasów 52,000, łabędzi 280, gęsi dzikich 3,400, kaczek 270,000, kwiczołów 1,298,000, czapli 16,700, kromoranów 510, orłów 244, puhaczy 190, psów 350, innych drapieżców 119,500.

Konkurs psów, używanych przez urzędników celnych do tropienia przemytników, odbył się 24 czerwca r. b. w Lille (północnej Francyi). Psy te są ułożone nietylko do tropienia ludzi-przemytników, ale i ich pomocników-psów, układanych znów specyalnie do przenoszenia towarów i wymykania się prześladującym je akcyznikom i psom. Premiowanie odbyło się na podstawie świadectw, na których wykazana była ilość przytrzymanych przemytników i uszczutych psów. Pierwszą nagrodę uzyskał pies właściciela, który przez rok wytępił 235 psów przemytniczych. Jeżeli trudnem jest dla urzędników celnych ułożenie psów, które im przysparzają dochodu po 2 franki od zagryzionego psa, oprócz towaru, którego sprzedaż idzie na korzyść właściciela psa, o ile więcej mozołu i trudu kosztuje przemytników wyuczenie psa do przenoszenia towaru przy tylu niebezpiecznych okolicznościach. Przemytnik ma zwykle kilkanaście psów w zapasie, a układa je w następujący sposób. Na początek pokazuje się psu przebranego w mundur, urzędnika celnego, człowieka, który psa drażni, kopie i odpycha, i w ten sposób wyrabia nietylko niechęć ku sobie, ale wprost taki pies doznaje strachu na sam widok munduru. W początkach taki pies nie jest zabierany po za granicę domu, a jeżeli towarzyszy innemu przez pewien czas, doznaje zaraz prześladowania, i kopaniem lub biciem zmusza się go do powrotu do domu, gdzie natomiast czekają go pieszczoty i dobre pożywienie, i tym sposobem starają się w psu wyrobić przywiązanie do domu. Lekcye takie powtarzają się w coraz dalszych odległościach od domu i zwolna powierza mu się zabranie jakiego przedmiotu do domu. Skoro pies już ma wyrobiony zmysł szybkiej ucieczki do domu, bierze się go na nowe wycieczki, i pies taki wywiązuje się ze swego zadania, wymykając, jak wilk lub lis, nastręczającym się niebezpieczeństwom, nosem i uchem badając położenie.

Koziorożce w Schonbrunn. Król włoski, Wiktor Emanuel, posiada w rewirach Mon-Cents i Monte Rosa koziorożce, na które poluje z prawdziwem zamiłowaniem. W tych dniach nadesłane zostały w darze od króla włoskiego dla cesarza Franciszka Józefa do parku w Schonbrunn 2 pary. Jako koźlęta młode zostały schwytane w Monte-Rosa i, przywiezione do Monzy, z pomocą swojskich kóz zostały wyhodowane.

Zakłady Kruppa wyrabiają trzy gatunki stali na lufy do broni: a) *Gusstal* do sztucerów, b) *Flunstal* do śrótówek i c) *Specyalną stal* na lufy i do sztucerów i do śrótówek. Trzeci gatunek jest najprzedniejszą, a temsamem najdroższą stalą, i dostarczaną bywa tylko firmie I. P. Sauer & Sohn w Suhl, z prawem i obowiązkiem wybijania całej nazwy i marki ochronnej:

Special Gewehrlaufstahl — Fried. Krupp Essen,

która w każdej lufie jest wygrawirowana.

Rzadka przyjaźń trzech rodzin. Według „W. u. H.“ u hodowcy psów, p. J. Jennickera, w Wiedniu zdarzył się rzadki wypadek przyjaźni trzech rodzin, który zadaje kłam przysłowiowej niezgodzie psa z kotem. J. Jennicker zajmuje się przeważnie hodowlą niemieckich dogów, posiada jednakże w swej psiarni 2 suczki terrierki, matkę i córkę, z których starsza przed niejakim czasem przyprowadziła młode, ulokowawszy się w niedużej skrzyni. Po trzech dniach córka przyłączyła się do matki i przyprowadziła w tem wspólnem legowisku czworo młodych. Nie dość tego! Faworytka, kotka trójkolorowa, upodobała sobie także to legowisko i powiększyła ród koci. Jakkolwiek miejsce to nie wystarcza dla tak licznej rodziny, i matki i młode pokolenie tak odmienne co do usposobienia i charakteru, pozostają z sobą w jaknajlepszej zgodzie. Komiczny widok, jak matki—karmicielki zmieniają się w czynności karmienia, a tem zabawniejsze, że często równocześnie kocięta i psiaczki ssą jedną matkę.

O polowaniu na zające z ptakami łownemi w Chinach ciekawy opis podaje w „Ostasiat. Lloyd“ jeden z przygodnych uczestników tego rodzaju zabawy.

W listopadzie r. z. o godzinie 9 rano zebrała się naganka w okolicy Kaumi, składająca się z 30—40 ludzi, którzy wzięli sobie do pomocy 4 ptaki: 2 błotniaki (*Strigiceps cyaneus*), 1 jastrzębia (*Astur palumbarius*) i 1 myszołowa (*Bueto vulgaris*), oraz psa gończego. Przy wyjeździe ptaki te siedziały na ramionach naganiaczy, przywiązane na linkach, i częstem trzepotaniem skrzydeł i wyciąganiem szyi zdradzały tęsknotę poszybowania w wyższe regiony. Większemu niepokojeniu się ptaków zapobiegają krajowcy kładzeniem skórzanych kapturów. Naganka, ustawiona jak zwykle ze skrzydłami, odbywała pochód obławą. Pies został wypuszczony naprzód. Po krótkiem okładaniu, ruszył szaraka. Naganiacz, trzymający błotniaka, na dany znak prowadzącego polowanie, wypuścił kanię, która szybko wzbiła się w wyżyny i, spostrzegłszy z wysokości uciekającego szaraka, z gwałtownym impetem spuściła się na ziemię. Imponujące było pierwsze nacieranie z wyżyn, wykonane niejako w dwóch tempach. Spadając z wysokości, kania w połowie zatrzymała się na chwilę, pławiąc skrzydłami, i następnie dopiero uderzyła na ofiarę. Pierwszy atak, ten tylko skutek odniósł, że szarak zmienił pierwotny kierunek ucieczki; powtórne zaś uderzenie i następne powaliły zająca, a dobiegający pies dokończył uśmiercenia biednej ofiary; poczem i pies i błotniak usadowiły się obok zdoby-

czy, spokojnie wyczekując podejścia naganiaczy, którzy w nagrodę z przygotowanych zapasów obdarzyli błotniaka wróblem, a psa—innym smakołykiem. Błotniak po spożyciu wróbla zasiadł znowu na ramieniu naganiacza. Oględziny szaraka wykazały, że kości we łbie nie zostały bardzo spłaszczone szponami błotniaka, który uderzając na zdobycz, stara się szponami przeciwnika zdusić. Inaczej zachowują się jastrzębie i myszołowy, które wszczepiają szpony w ofiarę, i tak balansując na grzbiecie uciekającej ofiary, dziobem dokończają morderstwa. Jeżeli błotniakowi nie powiedzie się pierwsze uderzenie, ponownie wzbija się w wyżyny, aby wykonać drugi, silniejszy atak. W ten sposób polując z częstą zmianą ptaków, rezultat tego dnia wynosił kilkadziesiąt szaraków, a głównymi bohaterami były błotniaki, którym dość często powiodło się i bez pomocy psa, uśmiercić upatrzoną ofiarę.

Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szanownych Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki)

W d. 29 i 30 października r. b. odbyło się doroczne polowanie w Kluczu Borzańskim (pow. zwinogródzkim, gub. kijowska); zabito w 14-tu pędzeniach: 5 kozłów, 10 lisów i 133 zające.

Tam gdzie dawniej, przed 8-iu laty sarna była rzadkością, a zajęcy na dorocznem polowaniu padało kilkanaście, od lat już kilku mamy na rozkładzie wyżej setki zajęcy, sarn zaś jest tak wiele, że w każdem pędzeniu wychodziły ich całe stadka; ubite kozły odznaczają się dużą wagą i wprost przepięknem operleniem silnych i ładnie rozwiniętych rogów. Kuropatw, których dawniej było bardzo mało, dziś pomimo odstrzelenia w sierpniu z górą paruset sztuk — ubytku nie znać wcale.

Widzimy więc, jak wiele zrobić może rozumna pieczołowitość i racyonalna hodowla.

W Leśnowoli, w pow. Grójeckim, u pp. Al. Kosińskich zabito w d. 18 listopada w 14 strzelb: lisa, 45 zajęcy, 15 kuropatw i krogulca.

W Małej Wsi, u ks Zdzisława Lubomirskiego, odbyło się czterodniowe polowanie w d. 10, 11, 12 i 13 listopada. W 10 strzelb zabito: 45 bażantów, 13 rogaczy, cietrzewia, 7 lisów, 845 zajęcy, 128 kuropatw i 6 jastrzębi; razem 1047 sztuk. Królem polowania był Ordynat hr. M. Zamoyski, który miał na rozkładzie 203 sztuki.

W dobrach Trzebień Magnuszew hr. Jana Zamoyskiego odbyło się polowanie w dd. 18, 19 i 20 listopada. W 8 strzelb zabito: 8 dzików, 20 rogaczy, 7 lisów, 3 cietrzewie, 88 kuropatw, 1184 zające, 5 sztuk różnych; razem 1313 sztuk. Królem polowania był Ordynat hr. M. Zamoyski, który miał na rozkładzie 231 sztuk. Polowano z naganką i strejfami.

W Siemianowie, w pow. kutnowskim, d. 24 listopada u p. Kameckiej odbyło się polowanie w 5 strzelb. Zabito 92 zające, kozła, 3 kuropatwy i sowę. Królem polowania był p. K. Witkowski z Tmielna

WYKAZY MYŚLIWSKIE.

W rewirach księcia Schwarzenberg: Wittingan, Kruman, Winterberg, Stubenbach, Frauenberg, Protivin, Cheynow, Domansie, Lobosie, Muran i Schwarzenberg zabili tego roku książęta Schwarzenberg i zaproszeni goście na tokach. 145 głuszcy, 231 cietrzewi i cieciorkę. Razem 376 tokujących kogutów i kurę.

U znanego sportsmena A. Drebera w Krotowitz na Morawach polowano przez dwa dni na kuropatwy z naganką i ubito: 15 września 3134 sztuk, 16 września 1713 sztuk kuropatw. Razem 4847 sztuk kuropatw. Nadto zabito 329 sztuk różnej zwierzyny. Teren, który opolowano, wynosił 1200 morgów. Wspaniały rozkład.

Zapytania i Odpowiedzi.

Zapytanie Nr. 12. W roku b. mamy bardzo dużo myszy, które znaczne szkody wyrządzają, zjadając wszystką pszenicę, sypaną bażantom.

Prosiłbym Szanownego Pana o łaskawe udzielenie mi rady, jak temu zapobiedz. Możnaby sypać pszenicę zatrutą, lecz boję się bażanty potruć; przy ogrodzeniu budek, czy myszy nie rozniosą po za ogrodzenie, pszenicy?

G. Skrzyński.

Odpowiedź Nr. 12. Na zapytanie Szanownego Pana dajemy jedną tylko odpowiedź: Przeciw pladze mysz, należy zasypy dla bażantów izolować. Izolacya polega na tem, żeby bażantom dostępu do zasypu nie tamować, a myszom dojście do nich uniemożliwić. W tym celu, na pewną, stosowną odległość od zasypu wykopać wązki a głęboki rowek izolacyjny z prostopadłemi ścianami. Kopanie rowka uskutecznić najlepiej wązkim szpadlem t. zw. sztychem. Do zasypów przyzwyczajone myszy, wędrują śmiało do znanego dobrze żerowiska i przed osiągnięciem celu wpadają jedna za drugą do rowka. Z tej pułapki tylko jeden—w tym przypadku szkodliwy—gatunek myszy—Mus glareolus, mysz leśna—wydostać się może z powrotem, umie bowiem łazić po prostopadłych ścianach, drzewach i t. p., natomiast inne gatunki, a w szczególności mysz polna, z którą Szanowny Pan ma prawdopodobnie do czynienia, wyczekiwać będą śmierci, jaką im los zgotował. Rowek należy chronić od uszkodzeń i przynajmniej raz na dzień przy sposobności zasypu oczyszczać.

Wiktor Stephan.

Treść Nr 23 „ŁOWCA POLSKIEGO".

Ekonomiczno-społeczne znaczenie łowiectwa (D. c.). — Prochy małodymne (*Władysław Słonczyński*).—Gawędy starego myśliwego (*L. Łaszcz*).—Strzelba myśliwska (D. c.) (*Jerzy Koch*). Trucie strychniną (*Wiktor Stephan*).—Polowanie na łosie w Dawidgródku (D. c.) (*A. P.*).—Z dalekiego Wschodu (D. c.) (*Jan Dąbrowski*).—Prezydent Kruger jako myśliwy.—Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.—Drobiazgi myśliwskie: (Polowanie w Prusach. Konkurs psów. Koziorożce w Schönbrunn. Zakłady Kruppa. Rzadka przyjaźń trzech rodzin. O polowaniu na zające).—Kronika myśliwska.—Wykazy myśliwskie.—Zapytania i odpowiedzi.—W feljetonie: Na niedźwiedzia (D.) (*St. Z.*). Ilustracye: Wyjazd na polowanie.

Prenumerata „ŁOWCA POLSKIEGO" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

OD ADMINISTRACYI
„ŁOWCA POLSKIEGO"

Do dzisiejszego N-ru dołączamy blankiety przekazów pocztowych dla prenumeratorów prowincyonalnych, z prośbą o spieszne nadsyłanie zamówień i prenumeraty na rok następny.

OGŁOSZENIA.